CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO - MARZEC 2020

JOLANTA AUGUSTYŃSKA (O/Nowy Sącz)

Bieg Wazów - z motyką na księżyc, łapać byka za rogi!

Bieg Wazów *(właśc. Bieg Wazy, szw. Vasaloppet)* to długodystansowy bieg narciarski, rozgrywany w szwedzkiej prowincji Dalarna. Jest to najstarszy, najdłuższy i największy bieg narciarski na świecie, poprowadzony na dystansie 90 km z miejscowości Sälen do Mory. Pierwsza edycja Biegu miała miejsce w 1922 roku, a inspiracją do zapoczątkowania tej tradycyjnej imprezy, była ucieczka przyszłego króla Gustawa Wazy przed siepaczami króla Chrystiana II w 1520 r. *(źródło: Wikipedia)*.

Mianem „Bieg Wazów" określa się nie tylko jeden, główny bieg, rozgrywany zwykle w pierwszy weekend marca, ale też całą, trwającą przez ponad tydzień imprezę, w trakcie której organizowanych jest 10 biegów. Biegi Oppet Spor to biegi otwarte, rozgrywane na tym samym dystansie, co bieg główny. Różnią się od niego tym, że start odbywa się między godziną 7 a 8 rano, co pozwala na rozładowanie korków na pierwszym fragmencie trasy. W sumie 43% dystansu przebiega po płaskim terenie, 25% to podbiegi (suma podbiegów 812 m), a 32% to zjazdy. *(www.biegowki24.pl)*. W 2020 roku odbyła się 96 edycja Biegu Wazów.

Zapisując się na najsłynniejszy bieg narciarski, kilka miesięcy przed startem, nie wiedziałam tego wszystkiego. Bez wątpienia było to dla mnie wyzwanie, a jako że wyzwania są dla mnie motorem napędowym, dostarczają emocji, energii, i lubię się z nimi mierzyć – postanowiłam, nie zgłębiając wszystkiego, na bieg się zapisać. Miałam takie wyobrażenie, że jest do biegu sporo czasu, z pewnością będzie okazja nauczyć się choć trochę techniki i pobiegać, żeby nabrać wprawy.

Otóż, narty biegowe były dla mnie, do zeszłego roku, czymś zupełnie nieznanym. Pierwszy raz miałam okazję, przez kilka dni popróbować tej sztuki, podczas wyjazdu do Norwegii w styczniu 2019 roku. A wyjazd ten, też był w pewnym sensie szaleństwem! Pojechałam z przypadku, tylko dlatego, że akurat zwolniło się miejsce, z grupą osób, które kochają ten sport, kochają ten sposób aktywnego spędzania czasu, które regularnie biegają na nartach, uczestniczą w różnych zawodach! Byłam zupełnym żółtodziobem. Udało mi się kupić przed wyjazdem buty, narty i kije miałam pożyczone.

Czas nadspodziewanie szybko minął i w grudniu przypomniałam sobie, że pora poćwiczyć narciarstwo biegowe! Udało mi się, dzięki koledze, trafić do świetnej instruktorki, Pani Marceliny, z którą w grudniu miałam pierwszą godzinną lekcję. Ale jak to w życiu bywa, nie wszystkie plany udało się zrealizować. Mimo, iż zakładałam, że treningów będzie więcej to finalnie przed wylotem do Szwecji 21 lutego 2020 roku miałam za sobą, prócz tego grudniowego, jeszcze tylko trzy treningi, ponownie godzinną lekcje z instruktorką, samodzielny trening na dystansie 20 km, gdzie po raz pierwszy i jedyny mierzyłam czas i jednodniową wycieczkę na nartach w Czechach. W sumie pokonałam nieco ponad 50 km! Miałam też już swoje narty!

Moje oczekiwania przed biegiem? Chciałam ukończyć bieg w limicie czasu, który wynosił 12 godzin, trzeba też było pamiętać, że są prowadzone pomiary czasu na poszczególnych punktach, nie zmieszczenie się w limicie, skutkować mogło

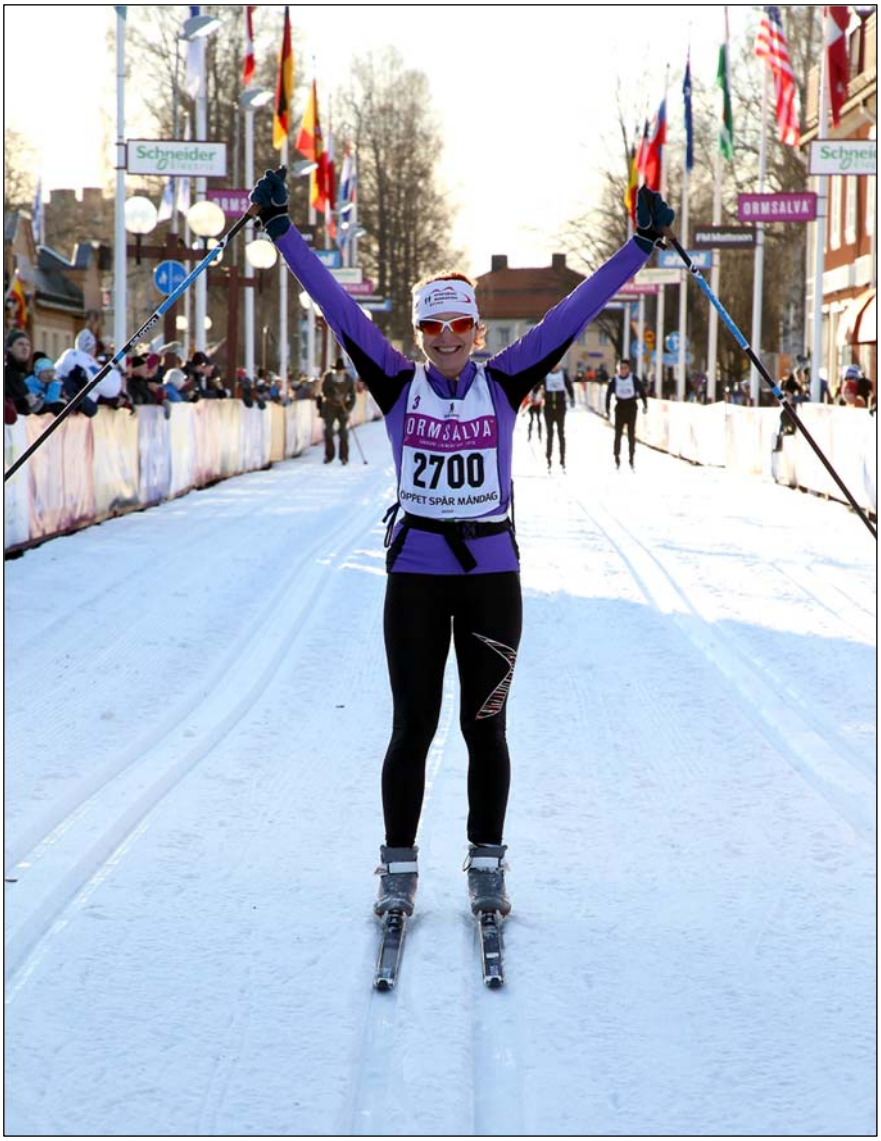

Fot. archiwum Jolanty Augustyńskiej – PTT Nowy Sącz

Na mecie – zmęczona, ale szczęśliwa

Fot. Jolanta Augustyńska – PTT Nowy Sącz

Polska grupa przed Biegiem Wazów

zakończeniem biegu gdzieś na trasie, bez możliwości kontynuowania.

Dzień przed startem zaczęłam mieć pewne obawy, czy aby limit czasu jest dla mnie do osiągnięcia? Tydzień wcześniej pokonałam 20 km na nartach biegowych w 2 godziny i 13 minut, po czym w normalnym biegu po 1,5 godzinnej przerwie przebiegłam 24 km w 2 godziny i 10 min. Nie było to zbyt optymistyczne! Wniosek był taki, że narty ewidentnie w bieganiu mi przeszkadzają.

A koledzy, którzy tak jak i ja oczekiwali na jutrzejszy start, omawiali taktykę, analizowali profil trasy, dobierali odpowiednie smary, czułam się jakbym była z innej bajki!

Ale, jak się powiedziało A, należało powiedzieć też B! Trzeba się było zmierzyć z wyzwaniem, złapać byka za rogi!

Moje zawody Oppet Spor na dystansie 90 km odbyły się 24 lutego. Wynajętym samochodem, razem z moimi Towarzyszami (Maćkiem, Markiem, Tomkiem, Markiem, Marianem, Romualdem, Jerzym i Zbigniewem, była z nami jeszcze Ewka, kibicowała nam i dojechała na metę później) przyjechaliśmy w okolice mety, by autobusami organizatorów dojechać na miejsce startu. Start był, zgodnie z formułą tego biegu, prowadzony dla poszczególnych sektorów w odstępach 10 minutowych. Mój był zaplanowany na 7:20 (trzeci sektor), dokładnie linię startu przekroczyłam o 7:20:18 i razem z ponad 4000 zawodników wyruszyłam na trasę (dla mnie w nieznane). Na starcie było dużo torów (bieg stylem klasycznym), toteż bieg rozpoczął się płynnie, po ok. 1,5 km, mieliśmy do pokonania największy, około 4 km podbieg. Tutaj niektórzy zawodnicy mieli pewne problemy, jeden niepewny ruch mógł skutkować utratą równowagi, wywrotką i blokowaniem kolejnych zawodników.

Na szczęście nie było poważniejszych wypadków. Po pokonaniu podbiegu był pierwszy, jakże przyjemny zjazd, a potem znów podbiegi, zjazdy, pchanie po płaskim i tak przez 90 km. Oznaczenia trasy były co km, jako odliczanie. Pierwszy znak jaki zobaczyłam to było 87 km! Tyle kilometrów było przede mną! Nie zniechęciłam się jednak ani trochę.

Pierwsze 30 km biegłam równo w swojej grupie, nie czułam zmęczenia, trasa powoli ubywała. Nie miałam ze sobą zegarka, zaś na wyjęcie telefonu szkoda mi było czasu, więc nie wiedziałam w jakim tempie biegniemy. Zakładałam jednak, że tak duża ilość osób, pośród 0których biegłam, nie może być niesklasyfikowana! Marzył mi się półmetek! Gdy zobaczyłam tabliczkę z napisem 45 km pomyślałam o tym, że jeszcze tylko 3 km, i do pokonania zostanie TYLKO maraton!!!! Na punkcie Evertsberg, gdy do końca pozostał tylko MARATON (średnio punkty żywieniowe lub z napojami, były rozstawione co 10 km), zobaczyłam po raz pierwszy zegar, była 11:38!. Chociaż do tej pory nie miałam jakichś bardzo trudnych momentów, zwątpienia czy czegoś podobnego, to patrząc na czas przybyło mi pewności, że w limicie się zmieszczę! Poczułam radosny optymizm.

Na półmetku, co było bardzo miłe, usłyszałam jak spiker wyczytuje moje nazwisko, potem dowiedziałam się, że byłam jedyną Polką startującą w tym biegu. Dalsza trasa nie była bardzo trudna, ale pewne zmęczenie było już odczuwalne, zwłaszcza ból rąk. Kolejny moment, który zapadł mi w pamięci był na 12 km przed metą, gdy ból lewej dłoni uniemożliwił mi wypuszczanie kijka, miałam cały czas dłoń „zaciśniętą" zablokowaną na kijku. Z pewnością spowolniło mnie to trochę, ale wiedziałam, że bieg ukończę. I ukończyłam dokładnie po 8 godzinach, 8 minutach i 46 sekundach! Byłam szczęśliwa!

Był to mój pierwszy start w zawodach na nartach biegowych. Dla znawców tematu najsłynniejszy polski Bieg Piastów czy najsłynniejszy na świecie, szwedzki Bieg Wazów to imprezy kultowe, zawody, w których chce się uczestniczyć. Są to jednak maratony narciarskie (najdłuższe dystanse to 50 km Bieg Piastów i 90 km Bieg Wazów) i chyba mało kto wybiera taki bieg na swój debiut! Ja rozpoczęłam z przytupem, startując na pierwszych swoich zawodach na możliwie najdłuższym dystansie 90 km.

Na pewno moim plusem było to, że dość dobrze radziłam sobie na zjazdach i o dziwo na podbiegach! Organizatorzy przestrzegali przed zawodami, że z racji na oblodzenie trasy może być konieczność zdejmowania nart na zjazdach i schodzenia, część zawodników właśnie tak postępowała. Zaliczyłam tylko cztery niegroźne upadki, a to najechałam sobie na kijek, a to się zagapiłam, nic poważnego.

Do biegu, który był dla mnie właśnie „rzuceniem się na głęboką wodę" czy też „łapaniem byka za rogi" miałam tylko pewne przygotowanie kondycyjne (chociaż nigdy wcześniej nie pokonałam 90 km, najwięcej ok. 80 km – kilka lat wcześniej podczas Biegu Rzeźnika) i jak mnie wszyscy znawcy zapewniali, dość dobre wyczucie nart (nie chcieli wierzyć, że tak mało na nich biegałam).

Mogę powiedzieć, że to był mój dzień! Wszystko mi pasowało, nie miałam problemów z nietolerancją jedzenia, z kryzysem energetycznym, nie dokuczały mi skurcze, nie było mi ani za zimno ani za gorąco, stojąc na starcie nie odczuwałam (o dziwo!) stresu. Ktoś, kto sprawdza predyspozycje na podstawie biorytmów, mógłby rzec,że trafiłam idealnie, mój biorytm fizyczny wynosił 100%.

Jeśli jeszcze w jakiś sposób ten bieg można podsumować, to z pewnością Bogu dziękować wypada, że udało się nam wszystko idealnie, byliśmy w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie, zważywszy na obecną sytuację epidemiologiczną. Serdeczne podziękowania na pewno należą się moim Współtowarzyszom (zawodnikom, którzy już w wielu biegach narciarskich brali udział), którzy przygotowali mi narty, udzielali wskazówek, cały czas dodawali otuchy i dopiero po biegu przyznali się, że brali taką możliwość pod uwagę, że jednak gdzieś z trasy będę musiała zejść. Karolowi, który nie mógł z nami pojechać, a który do udziału w biegu mnie namówił, który niemal proroczo oszacował mój czas (przy zgłoszeniu, należało podać przewidywany czas ukończenia zawodów, na tej podstawie trafiało się do odpowiedniego sektora), za jego namową podałam 8:15h. Mojej Rodzinie i Przyjaciołom, którzy we mnie wierzyli i dopingowali, jak widać skutecznie. Na drugi dzień bolały mnie chyba wszystkie mięśnie, zwłaszcza brzucha, co znaczy, że się na trasie nie obijałam. ■

ADAM SORDYL (K/Oświęcim)

Bieszczady zimą

Fot. archiwum PTT Oświęcim

Nasza grupa na Krzemieńcu

Zima? To w tym roku trochę dziwne słowo, dla którego trudno znaleźć odzwierciedlenie w warunkach za oknami naszych domów. A jednak jest, ma się dobrze i tylko trzeba być trochę bliżej nieba, aby ją spotkać.

Kontynuując zeszłoroczną, zimową wędrówkę z namiotem przez Bieszczady zaczynamy we wsi Żubracze i porzucając samochód niemalże na środku skrzyżowania, czym prędzej udajemy się w góry. Tak szybko, aby zapomnieć o codziennej bieganinie i nigdy nie dających się dogonić zadaniach do wypełnienia w życiu zawodowym. Pierwsze podejście daje możliwość odreagowania i stopniowego wyciszenia. Wspinamy się na Hyrlatą, na którą w zeszłym roku zabrakło nam determinacji. Tym razem to początek, więc sił dużo, a i motywacja jest ogromna. Raz, dwa, jesteśmy na górze i od razu w innym świecie. Śnieg, cisza, tropy dzikich zwierząt, jest fajnie. Teraz w dół, czasami w głębokim śniegu, tym razem bez rakiet, więc co krok sprawdzamy prawdziwą głębokość śniegu. Schodzimy do Roztoki, czyli ostatnich zabudowań na trasie pierwszego i prawie całego drugiego dnia wędrówki.

Z Roztoki idziemy w kierunku granicy państwa na Przełęcz nad Roztokami, a stamtąd wzdłuż granicy państwa w kierunku Okrąglika. Tuż nad przełęczą tablice przypominają o szańcu Konfederatów Barskich, który znajdował się dokładnie w tym miejscu. Chwila przypomnienia faktów z przeszłości i trzeba wrócić do wędrowania, które jest przyjemnością samą w sobie, a jeszcze na dodatek zza chmur nieśmiało przebija się słońce. Na Okrągliku krótki odpoczynek i wstępne planowanie miejsca na nocleg. Wybór padł na przełęcz pod Płaszą. Kawałek płaskiego terenu, w sam raz na dwa namioty, więc się rozbijamy. Z roku na rok idzie nam to coraz sprawniej, tym razem w trochę ponad pół godziny. Teraz gotowanie, jedzenie i długi sen. Tego mi brakowało i o tym marzyłem. Ponad 10 godzin snu, coś wspaniałego.

Wstajemy wypoczęci i… zasypani śniegiem. Ok. 10 cm świeżego puchu, więc jest jeszcze piękniej, niż wczoraj. Wszystko idealnie białe i czyściutkie. Cała nasza czwórka: Jacek, Witek, Karol i ja zbieramy się w miarę sprawnie. I jeszcze małe przyjemne zaskoczenie. Jacek nie zapomniał o tłustym czwartku, więc dzień zaczynamy od słodziutkiego pączusia. Dzięki Jacek.

Cały dzień wędrujemy granicą polsko-słowacką, a na koniec dnia polsko-ukraińską. Cisza i spokój, to co chcieliśmy mieć, wybierając się w tę wędrówkę. Część drogi podążamy tropem wilka, który, jak sądzę, wyprzedzał nas gdzieś o około 2 godziny. Przez cały dzień spotykamy tylko dwie osoby, a pogoda wokół nas zmienia się stopniowo, ale dość znacznie. Od chłodnego poranka przez pochmurny, a następnie częściowo słoneczny dzień, aż po wietrzny i śnieżny jego koniec na Wielkiej i Małej Rawce. Ta końcówka dnia to zapowiedź kolejnego. Jesteśmy w parku narodowym, więc nocować musimy w schronisku, w Bacówce pod Małą Rawką, gdzie docieramy równo ze zmrokiem.

Dzień trzeci. Zima wciąż piękna, a my już trochę zmęczeni, więc trasa najprawdopodobniej będzie krótsza. Krótsza nie znaczy lżejsza, szczególnie, że to zima, więc i pogoda może trochę dokuczać. Trasa okazała się dość krótka, prowadziła przez przełęcz Wyżniańską, Połoninę Caryńską, Brzegi Górne na Połoninę Wetlińską (dokładnie do Chatki Puchatka, gdzie mieliśmy trzeci nocleg). Tego dnia aura przypomniała, co to znaczy zima, może nie co do temperatury, ale co do wiatru i śniegu. Na Caryńskiej wiało tak mocno, że mnie, ważącego niemało, szczególnie z plecakiem, chciało skutecznie zniechęcić do dalszej wędrówki i zrzucić na dół. Była więc chwila zastanowienia, co robimy i czy idziemy dalej. Ale jako że wiało mocno i trudno było usłyszeć siebie nawzajem, więc po prostu ruszyliśmy zaplanowaną trasą. Wydawało mi się, że taka była nasza decyzja. Kierunek północny-zachód, czyli akurat tego dnia dokładnie pod wiatr. Było ekscytująco i z odrobiną adrenaliny, tak jak lubię. Reszta dnia już spokojnie, zimowo i zwyczajnie, jak to na uczęszczanych szlakach naszych gór. Dzień skończyliśmy wcześnie, decydując się na nocleg w Chatce Puchatka. Decyzja podjęta ze względu na wiatr, brak widoków i chyba zbyt długi dystans do miejsca potencjalnego noclegu. Decyzja okazała się bardzo trafna. Długi leniwy wieczór w schronisku z hulającym wiatrem za oknami. Kolejny czas odpoczynku.

Dzień czwarty. Poranek ze słońcem, pięknie. Cała Połonina Wetlińska idealnie biała, oświetlona mocnym słońcem i otoczona błękitem nieba. To kolejne oblicze zimy, to bardziej przyjazne i piękne, a dla nas wynagradzające czterodniowe wędrowanie. Ostatnie zimowe widoki na Smereku, a później już cały czas w dół do bacówki w Jaworcu. W dół to znaczy, że z każdym krokiem bliżej wiosny. W bacówce pyszny obiad, a następnie do Dołżycy, czarnym szlakiem przez Czereninę i Falową. Byłoby zbyt łatwo, więc mając w pamięci podobne wyjście sprzed lat, zaproponowałem… skrócenie drogi brodem przez rzekę Wetlinę. Woda zimna, ale to dobrze wpływa na krążenie, więc myślę, że każdemu z nas trochę pomogła, mimo, iż niektórzy nie byli zachwyceni.

Szybko minęły te cztery dni. Przeszliśmy trochę mniej, niż zakładał plan, ale te ok. 72 km i cztery dni spędzone w otoczeniu prawdziwej zimy dały odpoczynek i zadowolenie. Może trochę mało tym razem było namiotu, ale tak po prostu wyszło z planowania na bieżąco w drodze.

Za rok jeszcze nie wiem gdzie, ale pójdziemy na pewno. Zapraszam.

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/Sosnowiec)

XXXV Jubileuszowe Zimowe Wejście na Babią Górę

W tym roku Oddział PTT w Sosnowcu zorganizował już po raz trzydziesty piąty zimową imprezę na Babią Górę. W tym okresie na szczęście pandemia COVID-19 nie dotarła jeszcze do Polski i mogliśmy spokojnie wyruszyć w góry.

Zasadnicza część uczestników wyjechała autokarem z Sosnowca w piątek w dniu 28 lutego. Po drodze na Przełęcz Krowiarki zatrzymali się na obiad w „Zbójnickiej" pod Mosornym Groniem. Z Przełęczy Krowiarki dotarli płajem do schroniska na Markowych Szczawinach.

Seniorzy PTT z Sosnowca Witek, Zbyszki i Jacek wyruszyli mikrobusem z Sosnowca. Pierwszym punktem programu, jak zawsze, było spotkanie w Karczmie „Rzym" w Suchej Beskidzkiej. Tutaj dotarli do nas Danusia i Darek.

Spotkania w Karczmie „Rzym" mają swoją wieloletnią tradycję. Personel także znajomy. Z wieloma kelnerkami znamy się od lat. Większość osób obowiązkowo zamawiała „żurek stryszawski", a do tego piwo. Specjalnością zakładu były: „mikstura szatańska" oraz „diabliki". Dobry nastrój zapewniały, także śpiewy przy gitarze. Wspominaliśmy kolegów, których nie ma wśród nas, a bywali z nami tutaj wiele razy. Śpiewaliśmy piosenki skomponowane przez śp. Alka Batkę oraz inne turystyczne i górskie. Czas nam mile upływał, ale trzeba było jechać dalej do Zawoi.

Zakwaterowanie mieliśmy ponownie w DW „Hanka". Obiekt stojący na tym miejscu o nazwie „Hanka" był siedzibą II i III Zimowego Wejścia na Babią Górę. W godzinach wieczornych dotarła do nas Asia z Jastrzębia oraz Grażynka, prezeska O/PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Czas nam upłynął bardzo miło na wspólnych śpiewach przy gitarze. Wspominaliśmy ostatnie Spotkanie Zimowe Oddziałów PTT w Górach Świętokrzyskich, które w tym roku odbyło się w Sandomierzu. Niestety, Grażynka następnego dnia rano musiała nas opuścić i udać się do Ostrowca Świętokrzyskiego, a spowodowane to było sprawami osobistymi.

Następnego dnia rano odwieźliśmy Grażynkę na przystanek PKS, a sami udaliśmy się na Przełęcz „Krowiarki". Tutaj na parkingu zostawiliśmy samochód i udaliśmy się niebieskim szlakiem do schroniska na Markowych Szczawinach. Pokonanie tego liczącego trochę ponad 6 km szlaku zajęło nam ok. 2 godzin. Wiatr wiał huraganowy, a szlaki w kilku miejscach były zawiewane przez śnieg. Nie było na szczęście potrzeby zakładania raków.

W schronisku atmosfera była bardzo dobra. Część osób szykowała się do wyjścia na szlak, część natomiast konsumowała posiłki. Do schroniska dochodzili cały czas turyści. Miłą niespodzianką było przybycie do schroniska Jolanty Augustyńskiej – Prezeski ZG PTT. Wszyscy byli pod wrażeniem jej ostatniego wyczynu w Szwecji, gdzie ukończyła narciarski Bieg Wazów.

Z uwagi na warunki atmosferyczne nie wszyscy dotarli na szczyt. Cześć osób musiała zakończyć wejście na Przełęczy Brona, gdzie huraganowy wiatr dawał się mocno we znaki.

W godzinach wieczornych w schronisku odbyła się część oficjalna imprezy. Z rąk Pani Prezes ZG PTT Jolanty Augustyńskiej zostały wręczone wyróżnienia i legitymacje członkowskie.

Wyróżnienie „Primus inter pares" otrzymali Dariusz Turek (za osiągnięcia sportowe) i Wojciech Iwański (za działalność na rzecz Oddziału PTT w Sosnowcu). Następnie grupie osób zostały wręczone legitymacje członkowskie. W części artystycznej odbył się koncert zespołu „Burning Flash" z Gliwic.

Po występie zespołu odbyły się tańce. Atmosfera w schronisku była bardzo sympatyczna. Prezes Oddziału Tomasz Grabolus podsumował dotychczasowe imprezy. W tym roku jako pamiątka dla wszystkich uczestników został wręczony okolicznościowy kubek. Z pewnością przyda się on na turystycznym szlaku. Co warto podkreślić, w tym roku mimo bardzo trudnych warunków atmosferycznych nie zanotowano żadnego wypadku, ani najdrobniejszej kontuzji. Czas mijał szybko, ale część osób musiała się pożegnać, aby jeszcze zejść do Zawoi. Ponownie schodziliśmy niebieskim szlakiem na Przełęcz Krowiarki. Warunki były podobne jak rano, może trochę więcej śniegu. Na dłużej zatrzymaliśmy się na przełęczy. Tutaj znajduje się tablica upamiętniająca katastrofę samolotową z 2.04.1969 r. Na pokładzie samolotu rejsowego z Warszawy do Krakowa na stokach Policy zginęły 53 osoby. Wśród nich prof. UJ Zenon Klemensiewicz. Przyczyny tragedii do dzisiaj nie zostały wyjaśnione. Warunki atmosferyczne były dobre. Jedna z wersji mówi o porwaniu samolotu. Aby uniknąć namierzenia przez radary samolot leciał zbyt nisko i uderzył w Policę.

W godzinach wieczornych, także w „Hance" atmosfera była bardzo sympatyczna. Czas upływał nam na śpiewie przy gitarze. Grupa nasza powiększyła się o Adama z małżonką, którzy dojechali rano.

Ostatniego dnia imprezy pojechaliśmy na wyciąg narciarski na Mosornym Groniu. Tutaj jeszcze można było pojeździć na nartach. Skrzętnie z tego skorzystali: Adam, Witek i Jacek. Potem tradycyjnie wpadliśmy na posiłek do „Zbójnickiej". W godzinach południowych uczestnicy imprezy zakwaterowani w schronisku rozpoczęli powrót płajem na Przełęcz Krowiarki. Zasadnicza część uczestników zakończyła imprezę w „Zbójnickiej". Seniorzy natomiast udali się do Suchej Beskidzkiej do Karczmy „Rzym". Tutaj przy gitarze żegnaliśmy się z XXXV Zimowym Wejściem na Babią Górę.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że w imprezie uczestniczyli goście z: Ostrowca Świętokrzyskiego, Warszawy, Łodzi, Szydłowca, Jastrzębia Zdroju. Tradycyjnie przyjechali także goście z USA, Anglii i Albanii. Do zobaczenia za rok.

Fot. archiwum PTT Sosnowiec

Na szczycie Babiej Góry

BARBARA MORAWSKA-NOWAK (O/Kraków)

Jubileusz, który nie mógł się odbyć

31 marca 1990 roku odbyło się zebranie założycielskie Oddziału PTT Beskid w Nowym Sączu. Inicjatorem utworzenia oddziału był Maciej Zaremba, który został wybrany prezesem i pełnił tę funkcję przez 5 kadencji. O utworzeniu Oddziału, a raczej jego reaktywowaniu, bo istniał już od 1906 roku myślał już w 1981 roku, ale nie zdążył go założyć przed I Zjazdem PTT. Zaprosił na zebranie założycielskie prezesa Zarządu Głównego PTT Macieja Mischke, który, jak pamiętam, ucieszył się bardzo z tej inicjatywy. Na zebraniu przybliżył uczestnikom czym było i zamierza być Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. W 1990 roku Oddział liczył 141 członków (obecnie liczy 307 – dane z 2019 roku).

Maciej Zaremba został dokooptowany do Zarządu Głównego PTT, a po kolejnych wyborach został wiceprezesem Towarzystwa. Popierał wydawanie przez PTT biuletynu informacyjnego „Co słychać?" oraz Pamiętników PTT. Tom IV został wydany w Nowym Sączu, a składał go jego brat Jacek, dziennikarz z wykształcenia.

Począwszy od 1990 roku Oddział wydaje pismo „Beskid", dokumentujące działalność Oddziału. Początkowo ukazywało się jako dwumiesięcznik i kwartalnik, a ostatnio ukazuje się raz do roku pod redakcją Marii Dominik. Ostatni zeszyt, rozdawany w Sandomierzu, ma numer 76.

W 1997 roku Oddział otrzymał za patrona prof. Feliksa Rapfa (1891-1972), zasłużonego działacza i prezesa przedwojennego Oddziału PTT „Beskid". To on był pomysłodawcą formy znakowania szlaków, sam wyznakował 470 km nowych szlaków turystycznych.

Maciej Zaremba zaproponował Towarzystwu Kapelana w osobie księdza Józefa Drabika, wówczas proboszcza kościoła w Krynicy-Słotwinach, a obecnie proboszcza w Brzesku.

Trudno mi opisywać całą działalność Oddziału, opiszę raczej wydarzenia, w których brałam udział. W 1997 roku wzięłam wraz z mężem udział w wyjeździe na Ukrainę w czasie tzw. długiego weekendu majowego. Po nocnym przekroczeniu granicy nad ranem 30 kwietnia przyjechaliśmy do Lwowa, który zwiedzaliśmy, a następnie pojechaliśmy do Stanisławowa. Ze Stanisławowa zrobiliśmy objazdową trasę: Buczacz – Jazłowiec – Czortków – Trembowla. Kolejnego dnia ze Stanisławowa pojechaliśmy do Kołomyi, gdzie zwiedziliśmy muzeum, skąd przez Kosów – Kuty – Żabie i Worochtę dojechaliśmy do Jaremcza. Nocowaliśmy w Jaremczu, skąd wróciliśmy się do Rafajłowej, aby zobaczyć obelisk na przełęczy Legionów. Pięknie kwitły krokusy. Do Polski wróciliśmy przez przełęcz Tatarską skąd przez Siedmiogród i Słowację dojechaliśmy do Popradu i przekroczyliśmy granicę w Mniszku. To był mój drugi wyjazd w Karpaty Wschodnie (pierwszy był z Oddziałem Łódzkim w 1993 roku).

Pamiętam też, za kadencji Wojciecha Lippy. jakieś posiedzenie w schronisku pod Obidzą, które jednak nie zostało schroniskiem PTT jak Młada Hora.

Pamiętne dla mnie były obchody XX-lecia Oddziału zorganizowane na Rosochatce, gdzie odprawiona została msza św. Było to bowiem 10 kwietnia 2010 roku, gdy już jadąc samochodem z Prezesem ZG, wówczas Włodkiem Janusikiem, słyszeliśmy wstrząsające komunikaty o rozbiciu się samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem. Wydarzenie to zaciążyło nad

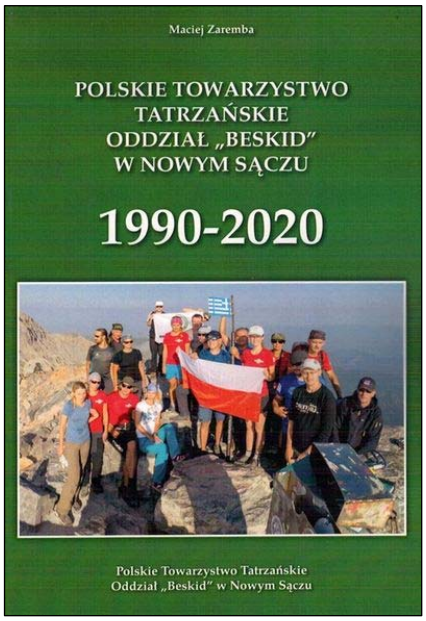

Monografia wydana na jubileusz trzydziestolecia Oddziału PTT „Beskid" w Nowym Sączu wciąż czeka na swoją oficjalną premierę.

tymi obchodami, gdzie oprócz Prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego żony Marii zginęło jeszcze 94 inne osoby, niektóre znane obecnym jak generał Franciszek Gągor, absolwent Liceum im. Jana Długosza w Nowym Sączu.

Na XXV-lecie Oddziału Maciej Zaremba opracował szczegółową monografię pt. „Polskie Towarzystwo Tatrzańskie Oddział 'Beskid' w Nowym Sączu 1990-2015".

Teraz także otrzymałam zaproszenie na jubileusz XXX-lecia Oddziału, który ze względu na chyba już światową epidemię koronawirusa, został przełożony na czerwiec, ale nikt nie wie, kiedy się to skończy. Całe nasze życie, a więc także działalność turystyczna i prelekcyjna PTT została sparaliżowana. Czy ktokolwiek spodziewał się takiej morowej zarazy? ■

BARBARA MORAWSKA-NOWAK (O/Kraków)

To już 40 lat...

Nowy numer „Taternika"(1/2020) przypomniał o ważnych dla miłośników gór datach. 17 lutego 1980 roku Polacy zdobyli zimą najwyższy szczyt ziemi Mount Everest. Byli to uczestnicy narodowej wyprawy kierowanej przez Andrzeja Zawadę – Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki. W numerze można przeczytać rozmowę z Leszkiem Cichym oraz artykuły Andrzeja Zawady i Krzysztofa Wielickiego na ten temat.

Mniej znane jest inne osiągnięcie Polaków. Kilka dni później, bo 23 lutego 1980 r., wyprawa grotołazów pod kierunkiem Andrzeja Ciszewskiego dokonała pierwszego przejścia całego systemu najgłębszej wówczas jaskini świata – Gouffre Jean-Bernard we francuskich Alpach Sabaudzkich.

Można zatem powiedzieć, że Polacy zdobyli wówczas dwa bieguny Ziemi. Chciałabym dożyć wiadomości, że zdobyliśmy także zimą drugi najwyższy szczyt ziemi – K-2, ostatnie z niezdobytych zimą ośmiotysięczników. ■

Okładka „Taternika" nr 1/2020, w którym przypomniano zdobycie przez Polaków dwóch biegunów Ziemi w 1980 r.

LECH RUGAŁA (O/Poznań)

Anioł z Ciszycy

U podnóża śmiało wyrastających z Kotliny Jeleniogórskiej i imponujących swym ogromem wschodnich grzbietów Karkonoszy z górującą nad nimi Śnieżką, w Ciszycy koło Kowar, stoi urokliwie położony, lecz mocno zaniedbany pałac. Przez długi czas, wraz z otaczającym go parkiem, stanowił scenerię niezwykłych wydarzeń opisanych w literaturze. Początek wieku XIX to czas, kiedy Europa oszalała na punkcie turystyki i romantycznego krajobrazu. Karkonosze nadawały się do tego wprost znakomicie. U podnóża tych gór powstawały „jak grzyby po deszczu" letnie rezydencje rodów magnackich z całej niemal Europy. Budowano zespoły pałacowe i zamkowo-parkowe z amfiteatrami, sztucznymi ruinami itp. Zjeżdżała do Kotliny Jeleniogórskiej pruska arystokracja wraz z dworem królewskim na czele.

Pałac w Ciszycy (wówczas Ruhberg) został zbudowany na początku XIX wieku dla namiestnika Śląska hr. Carla Georga von Hoyma. W 1824 roku pałac ten zakupił namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego, książę Antoni Henryk Radziwiłł[1] wraz z otaczającym go parkiem i romantycznym zameczkiem myśliwskim zbudowanym w formie pseudoruiny na pobliskim wzgórzu, zwanym obecnie Radziwiłłówką. Razem z rodziną przyjeżdżał on tam głównie latem.

Antoni Radziwiłł z Wielkopolski do Ciszycy nie miał daleko, więc bywał tam stosunkowo często. Cała rodzina Radziwiłłów bardzo polubiła swoje miejsce w Karkonoszach. Księżna Luiza, żona Antoniego, wraz z córkami Elżbietą i Wandą spędzali tam lato. Często zdarzały się tu towarzyskie wizyty przyjaciół. W wydanym w Poznaniu w języku polskim przewodniku propagującym wędrówki po Karkonoszach znalazła się propozycja wycieczki ze zwróceniem uwagi na rezydencję Radziwiłłów w Ciszycy: *„Chcąc ze Szmideberga udać się w podróż na góry, można z dwóch ścieżków iedną obrać; iedna prowadźi do przyiemney, o 3/4 mile od miasta odległey wioski Buszvorwerk ku Szteinseifen: druga idźie wzdłuż miasta, koło plantacyów, gdzie Jey Królewiczowska Imci Xiężna pruska Louiza, godna małżónka J.O.Xięcia Radziwiłła latową porą przebywa (...)".* Odbywały się również wypady do sąsiednich posiadłości zaprzyjaźnionych arystokratów.

Księżniczka Elżbieta, zwana przez najbliższych Elizą, bardzo lubiła piesze wycieczki. Była ona bardzo dzielną i wytrwałą dziewczyną. Gdy większość arystokracji jej czasów pokonywała wzniesienia noszona w lektyce, ona zwiedzała okolicę na własnych nogach. Eliza była uzdolniona artystycznie. W domu często bywali nauczyciele rysunku i malarstwa. Rodzina Radziwiłłów organizowała wspólne muzyczne wieczory. Eliza i Wanda wówczas śpiewały swoimi pięknymi głosami także pieśni autorstwa ich ojca. Antoni Radziwiłł skomponował w Ciszycy sporą część muzyki do romantycznej opery pt. „Faust" Goethego. Muzyka podobała się Goethemu – dopisał na życzenie kompozytora kilka linijek tekstu, których nie znajdziemy w oryginalnym wydaniu jego dzieła. Premiery „Fausta" Poznań doczekał się dopiero 5 kwietnia 2003 roku.[2]

Fot. Lech Rugała – PTT Oświęcim

Pałac w Ciszycy

Niekiedy w czasie rodzinnych koncertów[3] można było przez szybę dojrzeć twarze okolicznych mieszkańców oczarowanych śpiewem i grą Antoniego i jego córek. Zarówno Eliza, jak i Wanda nazywane były w okolicy „aniołami z Ciszycy" ze względu na ich życzliwość i dobroć, zwłaszcza dla okolicznych biednych wieśniaków, oraz niezwykłą urodę.

Pałac w Ciszycy był miejscem dość popularnym. Częstym jego gościem był brat ówczesnego króla Prus, książę Wilhelm. Eliza i Wilhelm bardzo przypadli sobie do gustu. Wkrótce nastąpiły ich zaręczyny. W scenerii ciszyckiego majątku narodziła się historia wielkiej miłości.

Radziwiłłowie byli Polakami. Jak się okazało stanowiło to poważny problem dla części pruskiej arystokracji. Odnosili się oni z wrogością do Antoniego i jego rodziny. Cała ta sytuacja przyczyniła się do rozbicia tak pięknie zapowiadającego się związku Elizy Radziwiłł z Wilhelmem Hohenzollernem.

W dniu 8 stycznia 1826 roku książę Wilhelm zatrzymał się na kilkanaście godzin w Poznaniu. O północy opuszczał rezydencję Radziwiłłów. Mimo silnego mrozu Eliza ubrana w cienką czarną suknię, w atłasowych trzewiczkach zbiegła ze schodów, narzuciwszy tylko futro, odprowadzając narzeczonego do powozu. Pożegnanie było bardzo smutne. Księżniczka zalewała się łzami, jakby przeczuwając, że to już koniec jej snów o szczęściu.

Wilhelm podążył do Petersburga. Tutaj widziano jego przyszłość u boku kogoś całkiem innego. Pod presją sił nieprzychylnych księżniczce, w której żyłach płynęła polska krew, król Fryderyk Wilhelm III zajął stanowisko jednoznacznie przeciwne małżeństwu Wilhelma z Elizą. Książę nie był zdolny do przeciwstawienia się ojcu...

Matka Elizy poczuła się bardzo urażona stanowiskiem pruskiego dworu. Trzeba pamiętać, że Radziwiłłowie to jeden z najznakomitszych polskich rodów arystokratycznych. Księżna Luiza powiedziała po zerwaniu zaręczyn: *„Może król lekceważyć naszą rodzinę, jeżeli mu się to podoba, ale osobisty szacunek, którego nie może nam odmówić, szacunek, jaki ma prawo żądać moja córka nie pozwala na to, by dać odmowną odpowiedź."*

Zerwanie zaręczyn bardzo dotknęło Elizę. Długo nie mogła dojść do siebie. Do końca życia z nikim się już nie związała. Zamieszkała na stałe w Ciszycy i tu leczyła swoje troski. Spory uszczerbek na jej zdrowiu musiały pozostawić wszystkie nieprzespane noce i morze wylanych łez. Zaczęła chorować na gruźlicę. Dwa lata walczyła z chorobą i zmarła w 1834 roku, w wieku 31 lat. Została pochowana w rodzinnym grobowcu w Antoninie koło Ostrowa Wielkopolskiego. Tak skończyła się dla „ciszyckiego anioła" historia niespełnionej miłości. Po śmierci Elizy letnia rezydencja Radziwiłłów przeszła w ręce jej siostry Wandy, wówczas już żony księcia Adama Konstantego Czartoryskiego. W rękach Czartoryskich Ciszyca pozostawała do roku 1927.

Natomiast drugi bohater tego tragicznego romansu, Wilhelm, przeżył okres romantyzmu i swoich konkurentów do tronu i wkrótce został koronowany, najpierw na króla Prus, a później został cesarzem Niemiec – Wilhelmem I. Niespełniona miłość Elizy Radziwiłłówny i Wilhelma Hohen-

Widok na Karkonosze

zollerna zainspirowała niemieckiego pisarza Baera Oswalda do opisania jej historii w powieści zatytułowanej: „Engel von Ruhberg" („Anioł z Ciszycy"), wydanej w 1889 roku we Wrocławiu.

Pałac w Ciszycy zakupiony w 1927 roku od Czartoryskich przez barona von Stein-Äcker, został w 1936 roku opuszczony i zaczął niszczeć. Uratowała go renowacja przeprowadzona w związku z kręceniem tu filmu „Pruska miłość", o historii uczuć Elizy Radziwiłłówny i księcia Wilhelma Hohenzollerna. Inspiracją do tego filmu stała się powieść Baera Oswalda, opisująca dzieje nieszczęśliwej miłości.

W latach 1945-1989 w budynku mieścił się ośrodek wczasowo-kolonijny. Potem stał się własnością prywatną. Dlatego ze zwiedzeniem tego miejsca mogą być pewne trudności. Poza tym ta była rezydencja magnacka dziś w niczym nie przypomina dawnej świetności. Wraz z przyległym parkiem i zameczkiem myśliwskim w formie romantycznej pseudoruiny z wieżą widokową, wzniesionym około 1790 roku na szczycie wzgórza dziś zwanego Radziwiłłówką (463 m n.p.m.), leży poza znakowanymi szlakami turystycznymi. Jest to o tyle dziwne, że przecież jest to jedno z niewielu na tym terenie miejsc tak silnie związanych z historią Polski i polskimi rodami magnackimi. W dodatku za transakcją zakupienia tego pałacu przez Antoniego Radziwiłła kryje się inspiracja wydania w Poznaniu pierwszego w historii polskiego przewodnika górskiego po „Olbrzymich górach" (tak wtedy nazywano Karkonosze) z przeznaczeniem dla goszczących tu Polaków. Polskie przewodniki górskie po Tatrach i Beskidach nie mogły pojawić się wcześniej, zbyt bowiem nikły był stopień rozwoju polskiej turystyki górskiej na tamtych terenach i trwało jeszcze wtedy tych gór turystyczne odkrywanie.

Radziwiłłowi i jego córkom rozmiłowanym w tej okolicy niewątpliwie zależało na propagowaniu piękna śląskich gór wśród rodaków i zadbali o to, żeby taki polski przewodnik się ukazał. A na to wzgórze naprawdę warto się wybrać, choć odnalezienie tej ruiny dla kogoś, kto jest tam po raz pierwszy, nie jest wcale łatwe. Warto tam pójść także dla widoku spod tego wzgórza (platforma widokowa na szczycie już nie istnieje), gdzie Karkonosze chyba najbardziej imponują swym ogromem. Niestety miejscowi przewodnicy z wycieczkami też tam prawie wcale nie zaglądają. Miejsce leży poza szlakami turystycznymi i trasami typowych wycieczek, choć od dawna aż prosi się o wytyczenie i wyznakowanie tam szlaku pieszego, jak i objęcie tego niszczejącego zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego należytą opieką. Przydało by się też utworzyć tam choćby skromną izbę pamięci dawnych właścicieli.

Pałac w Ciszycy w czasach, kiedy właścicielami byli Czartoryscy, można było zwiedzać. Takie zwiedzanie zostało szczegółowo opisane w książce „Marianna i Róże" na str. 181-183 na podstawie pamiętnika z podróży w sierpniu 1895 roku wielkopolskiej ziemianki Marianny Malinowskiej. Oto fragmenty tej relacji: *„Antoś zapłacił kamerdynerowi za wstęp i ten wpuścił nas do środka, oczekując przy drzwiach wejściowych na nasze wyjście. Jest tam co oglądać. Parter mieści parę saloników i jadalnię, bibliotekę, chyba ze dwa pokoje gościnne, wszystko urządzone pięknymi meblami, z cennymi obrazami na ścianach, z kryształowymi żyrandolami i świecznikami, wyrabianymi w miejscowych śląskich fabrykach. (…) Na poduszce, leżącej na zaścielonym jedwabną kapą łóżku, spoczywa robiąca wrażenie na widzu maska pośmiertna Elizy. Wydaje się, że to duch zmarłej, stale obecny tu, gdzie za życia kochała, tęskniła i na próżno czekała na swego ukochanego, który jej w końcu nie poślubił i pozwolił jej umrzeć ze zmartwienia. Po zwiedzeniu całego pałacyku sama jeszcze raz weszłam do pokoju księżniczki Elizy, aby utrwalić w pamięci odniesione wzruszające wrażenie (...)"*

Obecnie pałacu zwiedzać się nie da, jednak by należało ustawić w pobliżu tablice poglądowe z informacjami o jego historii i dawnych polskich właścicielach. Niestety podczas gdy to piszę, dowiaduję się, że przy drodze wiodącej obok pałacu w Ciszycy nadal stoi niszczejąca dziwna tablica informacyjna, że brakuje tam rzetelnej informacji dla turystów, a lokalnych władz i fundacji nie stać na ustawienie tam odpowiedniej tablicy poglądowej, na co zwróciłem uwagę m.in. w liście do redakcji miesięcznika „Na Szlaku", opublikowanym w sierpniu 2015 roku. Turysta przechodzący obok tego pałacu nadal nic się o historii i związkach tego miejsca z Polską nie dowie.

Bibliografia:

1) Baer O., *Der Engel von Ruhberg*, Breslau 1889.
2) Fabiański J., *Pod Kowarami Książę Antoni Radziwiłł komponował operę „Faust", Kowary. Szkice z dziejów miasta*, Jelenia Góra 1988.
3) Fedorowicz J., Konopińska J., *Marianna i Róże*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2008.
4) Trzeciakowscy M. i L., *W dziewiętnastowiecznym Poznaniu*, Wydawnictwo Poznańskie 1987.
5) *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, Poznań 1983. ■

[1] Antoni Radziwiłł to postać nieco tragiczna, przedstawiana przez historyków jako mierny dyplomata, któremu trudno było znaleźć złoty środek między interesami kraju, powiązaniami rodzinnymi z Hohenzollernami i troską o własne dobra. Śmierć synów, synowej i wnuczki oraz sercowy dramat córki Elizy sprawiły, że czarne chmury spowiły oblicze książęcej rodziny w ostatnich latach życia Antoniego. Dołączyły do tego coraz chłodniejsze stosunki z Berlinem, co książę odczuwał niezwykle dotkliwie. Dotknięty problemami rodzinnymi i pozbawiony honoru reprezentowania króla przez jego zdjęcie go ze stanowiska namiestnika za sympatyzowanie Powstaniu Listopadowemu, wyszydzany przez rodaków z targanych ruchami niepodległościowymi różnych stron rządzonej przez zaborców Polski, zaczął podupadać na zdrowiu. Nie czując się dobrze, obawiając się też epidemii cholery jaka szalała w stolicy Niemiec, wraz z całą rodziną na czas jakiś wyjechał do Ciszycy. I tutaj pogarszający się nadal stan zdrowia księżniczki Elizy spowodował, że Radziwiłłowie udali się do Cieplic (Teplic) położonych w Czechach (po ówczesnej austriackiej stronie w Sudetów), gdzie aż do następnego lata 1832 roku, przebywali w majątku księstwa Clary et Aldringen - teściów najstarszego z jego synów, księcia Wilhelma...

[2] O ile dużo mówi się o kompozytorach tworzących pod wpływem Tatr, w których to utworach muzycznych przewijają się motywy ich inspiracji przyrodą tatrzańską, tak miejsca pracy Radziwiłła nad tym dziełem lokuje się na terenie jego rezydencji w Antoninie i Poznaniu, a malownicze okolice pod Śnieżką, gdzie jego dzieło nabierało szczególnego zabarwienia, zbywa milczeniem. Wystawiono je w Berlinie po śmierci kompozytora w 1835 r. Spektaklem tym zachwycała się publiczność krajów języka niemieckiego i nie tylko, niemal do końca XIX wieku. Później rzecz całą zapomniano i już nie doczekała się wznowienia.

[3] Obraz Henryka Siemiradzkiego przedstawia koncert Fryderyka Chopina u Radziwiłła w 1829 roku.

SZYMON BARON (O/Bielsko-Biała)

Koronawirus a działalność PTT

Ogłoszona przez WHO pandemia koronawirusa dotknęła także nasz kraj. Z dnia na dzień pojawiają się nowe ograniczenia, zakazy i nakazy. Niektóre wydają się absurdalne, inne bardziej logiczne. Gdy w połowie marca, przed wprowadzeniem wszystkich rządowych ograniczeń, odpowiedzieliśmy jako Zarządu Oddziału PTT na apel Prezydenta Miasta Bielska-Białej o zawieszenie działalności, nie mieliśmy pojęcia, w którą stronę ta cała „afera" z koronawirusem się potoczy.

Dzisiaj, a piszę te słowa 9 kwietnia 2020 r., obowiązują dalsze ograniczenia w przemieszczaniu się, zakaz wychodzenia na ulicę nieletnich bez opieki dorosłego, obowiązek zasłaniania ust i nosa w miejscach publicznych, zakaz korzystania z parków, lasów, plaż, bulwarów, promenad i rowerów miejskich, ograniczenia w komunikacji publicznej, zakaz zgromadzeń i imprez, zmniejszona liczebność w sklepach… Zamknięto granice państwa, zamknięto parki narodowe. Część z nas pracuje zdalnie, ze swoich domów, część firm zawiesza działalność, a dzieci i młodzież uczą się w domach… Sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie, a wprowadzane ograniczenia niejednokrotnie wzbudzają kontrowersje w kwestii zgodności z Konstytucją RP i obowiązującym prawem. Okazuje się, że to, co zwykle pozwala nam odetchnąć, odpocząć i oderwać od codzienności, a zatem wycieczki, spacery, kontakt z przyrodą, jest obecnie zakazane, a łamanie zakazów wiąże się z wysokimi mandatami i karami administracyjnymi.

Jak przekłada się to na działalność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego? Z jednej strony odwoływane są kolejne wycieczki, prelekcje i walne zgromadzenia, mocno utrudniona jest nawet korespondencyjna weryfikacja odznak krajoznawczo-turystycznych z uwagi na ograniczony dostęp do placówek pocztowych. Z drugiej strony część osób, mocno zaangażowanych w działalność naszego Towarzystwa, ma wreszcie chwilę, żeby odetchnąć…

Marzec i kwiecień zwykle jest czasem wielu cyklicznych wydarzeń w PTT. W tym roku nie było tradycyjnego w pierwszy dzień wiosny chrzanowskiego biegu na orientację, nie odbył się konkurs wiedzy o górach w Tarnowie, nie wędrujemy z wielkopiątkowym krzyżem na Mogielicę wraz z mieleckim PTT, nie wiadomo, czy będziemy w tym roku sprzątać Beskidy z oddziałem bielskim. Wszyscy staramy się dostosować do popularnego w zaistniałej sytuacji hashtaga *#zostańwdomu*.

Wierzę, że całe to szaleństwo niedługo się skończy, a my zaczniemy ponownie wychodzić na spacery i wycieczki górskie, wspominać odwiedzone miejsca podczas slajdowisk, a zainteresowani zdobywaniem odznak będą zaliczać kolejne trasy i szczyty. Życzę tego Wam i sobie z całego serca.

Wydawca: Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego
Redakcja: Szymon Baron, Kinga Buras, Barbara Morawska-Nowak, Agata Podgórska
Skład: Katarzyna Wilusz
Adres redakcji: ul. Konarskiego 21/5, 30-049 Kraków ♦ e-mail: pracownia@ptt.org.pl ♦ tel.: 12 634-05-89
Wersja elektroniczna „Co słychać?" jest dostępna na stronie: http://www.ptt.org.pl